

Stanisława Zelma

Sygnatura notacji: **N0375**

Data urodzenia: **28.07.1932 r.**

Data nagrania: **10.02.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Omule, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisława Zelma: Urodziłam się w Nowym Grodzicznie 28 lipca 1932 roku. Rodzeństwa nas było dziesięciu. Właśnie do obozu było nas ósemka, a później jeszcze najstarszy brat zmarł, jeden był, i było nas osiem dziewcząt. Rodzice zajmowali się rolnictwem, 16-hektarowe gospodarstwo w dość dobrym stanie, dwa konie, pięć krów, dwa jałowice i tak że po prostu inwentarza było sporo. Ja miałam, jak do obozu nas wysiedlali, 9 lat, a moja siostra najstarsza miała 12 lat, najmłodsza rok. Rodzice tak: mama z domu Kotewicz, tato Bernard Dąbrowski, żyło nam się w spokoju, dobrze. Jak wojna wybuchła, to wiadomo, że wszyscy żeśmy drżeli. I mając po prostu te 9 lat, wieczorem przyszli Niemcy i kazali rodzicom w dwóch... O godzinie dziesiątej, w dwóch godzinach spakować się i do obozu. Nie mówili, że do obozu, tylko, że mamy swoje gospodarstwo opuszczać. A tata mówi: „Ludzie, gdzie chcecie nas wziąć z ósemką małych dzieci?” Oni mają taki rozkaz i oni to wykonują. Myśmy wszyscy śpiący, no bo wiadomo, już taka godzina, no to wtenczas rodzice w ogóle głowy potracili, bo nikt się nie spodziewał. Trzy dni przed tym już byli wysiedleni w Grodzicznie, ale myśmy się nie spodziewali, że jak jest taka liczna rodzina, tyle dzieci, żeby nas wzięli. No i wtenczas po tych dwóch godzinach, za dużo nie można było wziąć, bo Niemcy nie pozwolili i ani mama głowy nie miała, żeby po prostu więcej spakować odzieży czy cośkolwiek do jedzenia. No i wtenczas po prostu od sąsiadów pracownika zmusili, żeby naszymi koniami [końmi], naszym wozem zawiózł nas do Nowego Miasta na dworzec, to 12 kilometrów w zimę, bo to już listopad, 22 listopad, 1942 rok, przepraszam, 1941 rok. Tak że to już były mrozy na dawne czasy bardzo, bardzo po prostu duże. Tam żeśmy długo, długo czekali. Potem nadjechały wagony, takie bydlęce, gdzie już było dużo ludzi, i nas tam wepchano, wszystko na stojąco jeden przy drugim. Ludzie się załatwiali w rogu tego wagonu. Jakiś starszy pan bardzo jęczał, ktoś mu tam troszkę wody podał, no i zmarł ten dziadek i został razem z nami. Jechaliśmy całe wieki. No aż dojechaliśmy, no i stamtąd kazano nam iść i pojechaliśmy do Ja-

blonowa. I tam byliśmy 15 dni, bo było za mało ludzi do pracy, a za dużo dzieci. I polskiej krwi, i podobne tam do polskości, i nic z niemieckiego wyglądu żeśmy nie mieli. I po prostu przesiedlono nas znów wagonem, pociągami do Potulic. I tam żeśmy do Nakła dojechali i 9 kilometrów z Nakła jest do Potulic, to już nas po prostu Niemcy psami, karabinami popychali, żeśmy te 9 kilometrów szli piechotą. Mimo to, że mama i tato na zmianę tę najmłodszą Reginę nieśli, ta siostra, która jeszcze dzisiaj żyje, siostrą zakonną jest we Wolsztynie, to nie miała jeszcze 3 lat. No i w ogóle wszyscy byliśmy jeszcze nieduży. No bo ja 9 lat, a 5 za mną było młodszych. Tak że naprawdę było ciężko. Tam w Potulicach rewizja, medaliki nam rozdzielali z szyjów, to zawsze pamiętam. No i dostaliśmy tak, w zamku żeśmy mieszkali, bo jeszcze baraków nie było dużo. To w tym zamku mieliśmy taką komórkę. Nas ósemka dzieci i rodzice to dziesięć i Guzowscy z Zielkowa – było trójka dzieci i rodzice. No to oni dostali po prostu kawałek mniej, bo pół metra na człowieka przypadało podłogi. Straszne wszy, straszne pchły, niesamowicie no dużo tego. Przed nami taka duża, wielka sala była, jakby jakaś świetlica, to byli znani nam z Rożentala Zakrzewscy, Kruki z Mrocza i pozostałe jeszcze cztery rodziny, których ja już nie pamiętam. Rodzice szli do pracy, tato na 5:00, mama na 6:00 godzinę, rowy kopała. A tato jako cieśla, to właśnie budowali te nowe po prostu baraki, albo świeże, dlatego bo coraz więcej więźniów przywożono. W Boże Narodzenie, 22-go około Bożego Narodzenia, dwóch panów, dwóch mężczyzn, jeden najstarszy syn rodziny, drugi po prostu ojciec dużej rodziny, wybrali się za chlebem. I już tylko... no kroczyli, dwa, już by może dało im się uciec w jakieś tam gałęzie, w jakieś krzaki. Ale Niemiec się obrócił i z jednego pociągnięcia zastrzelił obydwóch. Wszystkich nas z obozu wypędzono, boso, co kto zdążył, to prędko. I od tej godziny dziesiątej do samego rana, nie wiem, piąta czy szósta, to ten bardzo Niemiec krzyczał, jakie to za przewinienia Polaków, za ucieczki, grozi śmierć i żeby to nikt się nie odważył. Jak przyszło rano, to było dziesięć dorosłych trupów i wiele dzieci, bardzo dużo dzieci na tym placu zostało. Wyżywienie było bardzo nędzne, bardzo nędzne. Wieczorem był rozdawany chleb, to jak u nas było nas dziesięciu, to był kilogramowy, ale były w tym kasztany, były trociny, no i tam coś, to była taka miazga niepodobna do chleba. No ale już do rana nie było nic. To było na cały dzień. A w południe to były zupy takie, które... z liści pokrzywów, zgniłych buraków, z brukwi namarznętej. No i tam już naprawdę mało kiedy, że ktoś jakiś kartofel znalazł. Tak że żeśmy to przetrwali tyle lat, to naprawdę, naprawdę dzięki Bogu, bo to jest niemożliwością. A myśmy jako dzieci byli zmuszeni, dwadzieścioro dzieci, jeden kapo nas brał i prowadził albo do lasu, żeśmy chrust wiązali, albo pokrzywy, jak w tego... Ja nie umiałam tego powrósła, bo chłopaki nam dawali takie te ze słomy i myśmy tym wiązali. Naokoło no to jakoś tam podłożyłam, ale potem tutaj zawinęłam, jakoś mi się tam udawało oszukać, że nie umiałam tego podłączyć i potem to się wszystko rozleciało. No ale dokąd się udawało. Pod koniec jednak Niemiec zauważył, że nie robię dokładnie, to jak mnie kopnął tym żelaznym swoim butem wojskowym, to do obozu po skończonej pracy na czterech wróciłam. Nie umiałam się wyprostować. I takie ciężkie belki do budowy, i takie po prostu cegły, ponad ludzkie, nasze dziecięce siły. Tak że to było wykończenie po prostu ludności i dzieci. Na początku jeszcze była jedna wielka kuchnia, olbrzymia kuchnia, i tam pracowało na jednej zmianie 20 kobiet i na tym dużym piecu, w tych dużych kotłach, gotowali dla nas. A na brzegach gotowali dla Niemców, dla esesmanów. To tam były i kartofle, była i kapusta, było i mięsko. Było to wszystko. I te panie, które tam pracowały, to jak, o właśnie – myśmy od ósmej do dziesiątej mieli pod nadzorem – dzieci do dziesiątego roku życia, a potem to już od dwunastego roku życia to szli normalnie do pracy, jak moje te dwie siostry starsze, to już szły tam od 7:00 tam na cały dzień. A myśmy byli... i potem po południu drugą razą, od drugiej do czwartej, a to mieliśmy wolne. No to w międzyczasie biegaliśmy i do tej kuchni. I były tu znane, potem żeśmy się po obozach poznawały, zresztą rodzice moi wcześniej. I te panie nam z tych kosztów te odpady dawały tak po jednej garści każdemu. Nic więcej, bo i tak

dla wszystkich nie starczyło. Czy to tam była trochę nagnita kapusta, czy oskrobka od ziemniaczków, czy po prostu – bez znaczenia. To, co było do wyrzucenia. Więc to, jak jeszcze mieliśmy ten dodatek, taki po prostu do karmienia, to jeszcze szło jakoś usnąć w nocy. Ale jak potem jedna z tych pań pomeldowała, że tak nie można, że dzieciom rozdają, a mogliby Niemcy sobie uchować świnki, lepsze jeszcze mieć wyżywienie. No to tę panią wzięto za pokojówkę i oddzielnie gotowała dla esesmanów. A te pięć pań, które ta pani wskazała, to była tutaj pani Klejnowa, bardzo znana, jeszcze jej syn tu po sąsiedzku mieszka, bardzo niesamowicie dobra. Guzowska, u której żeśmy mieszkali razem z Kazanic, w kuchni pracowała. Zielkowa, przepraszam, Zielkowie. A po prostu jeszcze potem... Mówińska, tak, z Kazanic i Haliny Laskowskiej mama, ale ona jeszcze była panienką, nie pamiętam nazwiska. I jednej, której nigdy nie poznałam. Ale ona zmarła tam. To za tę karę były wzięte do takiej komory, gdzie woda cały czas przepływała zimna i dostawali dziennie taki kawałek chleba i pół litra wody. To teraz jak się Potulice zwiedza, byłam może ze 20 razy albo i więcej i niektórych tu sąsiadów zabierałam i Przemek też tu wnuk był kiedyś ze mną, teraz już nie, bo za ciężko, ale naprawdę... i ta jedna pani zmarła. To byli na tym 10 dni. Jak wrócili z powrotem do kuchni, to już nic nie rozmawiali. Byli tak wykończeni, tak słabi, tak zmęczeni, a tam postawili kapo z psem. Jak oni te odpady wyrzucali i po prostu te nalewki nawet z wiadra, to myśmy poleciali, chcieliśmy tam cośkolwiek, żeby zjeść, ale zaraz tam psem poszczuł i myśmy naprawdę, no, puciekali, bo się balim. Na ubikację było bardzo, bardzo daleko, no, z pół kilometra. I tam był taki głęboki dół wykopany i co kawałek taki... taka prowizorka zrobiona, że te drągi byli tam co jakiś czas i potem na to była deska i to trzeba było na to usiąść i się załatwiać. Nie zawsze się zdążyło i nie wszyscy po prostu dotarli. A kto wpadł... To jest niemożliwe, że chociaż jakąś gałąź, bo taki znajomy, tego dziecko wpadło, to też ludzie ratowali tego chłopczyka, rok starszy ode mnie. No i z samej rzeczy, gdzie tam, przyszli Niemcy i strzelili, bo zawsze tam dwóch, trzech było w tym, co wpadło. Bo jak był tyfus, no to była niesamowicie biegunka. Jak myśmy krew zobaczyli, to szybko uciekaliśmy do domu. A jak człowiek nawet się też porobił, nie zdążył, no to też nie było bardzo w co się przebrać, a mamy przecież nie było, bo niektóre dni to żeśmy nawet rodziców nie widzieli, aż dopiero wieczorem. Jak już: „Mamo chleba, mamo tego, bo już...” Tak że to było ciężkie. I po prostu ta pani myślała, że to dziecko już naprawdę jej zostało w tym, w tym dole, ale po trzech dniach jej przynieśli kobiety, że jakoś dało się uratować i jakimś cudem odzyskała to dziecko. To się bardzo, bardzo cieszyła. Tak że to... No, że my jeszcze żyjemy, to już naprawdę tyle, co żeśmy przetrwali. Najgorszy to był głód. Głód i wszy. I to robactwa to było tak dużo, że naprawdę ja mam w kostce dziurę od wszów wyżartą, że przez dwa dni potem z obozu jak żeśmy wyszli, to mnie przez dwa lata krew i ropa leciała z tego. Ja nie wiem, to było chyba zatrucie organizmu całego. Tak że to się jakoś oczyściło, ale przez te dwa lata to kulawiałam, ta noga mnie bolała. Jak później nawet tutaj już, będąc mężatką, do ortopedy, no to teraz jak byłam, mówi: „Ja się bardzo dziwię, że pani tyle lat na tej nodze chodzi”. Tak że niesamowicie dużo, dużo biedy, a później już: „Mamo chleba, mamo tego”, no nie można było zasnąć nie to, że z głodu, bo już tak w brzuchu boli, jak jest, jak brak tej żywności dziecku. No to weźcie, chociaż nie powinno, posać paluszki, to może tego. No to człowiek te paluszki włożył, ale to nic nie dało. Ale jak się pogryzło, jak się swojej krwi napiło, to się przysnęło. Ale rano znów, no to nie wiadomo kiedy, jak się tak nad ranem zasnęło, rodziców już nie było. A jak troszkę przysnęła o ósmej, jak na apel, aby tego, to jak Niemiec tym butem pokopał, no to już każdy czuwał, żeby, aby na czas być na apelu. Była taka pompa. Tak że ja pięciolitrową taką kankę miałam wody, bo to było do picia dla każdego po litrze, nic więcej. Więc... Była jeszcze i kawa zbożowa. Więc pompowałam, tak przy tej ścianie ta pompa była, ale ta kanka była po prostu na dole w takim dużym wiadrze. I jak pompowałam, no to pół szklanki przeleciało tej wody do tego wiadra. To jak mnie schwycił po prostu Niemiec za moje barki, a my na... bo zawsze tam taki

taboret leżał i on z takimi Pedami, takie tego... to 10 batów takich jak dostałam, to przez wiele czasu nie umiałam się usiąść. Takie były zakrwawione pośladki, udy, wszystko. Także prześladowanie było niesamowicie. I był głód. Jeszcze raz głód. I mówię: „Nigdy więcej wojny”. A później, w 1942 roku, wydali takie zarządzenie tylko na pół roku, że jak po prostu jest tyle dzieci, to jest za duży nadzór nad nimi i rodzice za dużo... Po prostu... no, za mało niby pracuje, jeszcze po tym nocami nad tymi dziećmi, tam jakieś pranie, coś, i że nie ma dochodu. To żeby ktoś z rodziny ich postarał się, żeby ich wziął do siebie, dał pracę i mieszkania. No i mamy rodzina byli wszyscy w obozach, a taty jeszcze po prostu na tych ziemiach słabszych byli w domu. I trzy rodziny zrobiły podania, wszystkie trzy zostali odrzucone. Ale później kuzyn z Traczysk jeszcze raz zrobił, że... z wujkiem z Miesiączkowa, że wujek da mieszkanie i pracę, bo był zawodowym cieślą, a tata, tak jak jego gromadka też w domu, no to już rodzice patrzyli, żeby wszystkiego nauczyć. Tato umiał wszystko wykonać, tak że wujek jako taki kierownik, no na wolności, ale pod nadzorem Niemców był, no to że da i mieszkanie, i pracę. No i wreszcie ten wniosek został przyjęty i wujek po nas przyjechał. Przywiózł pół bochenka chleba, ale tato mówi: „My będziemy jutro jeść, bo będziemy na wolności”. I rozkroił tak każdemu po takim glonku i tam, gdzie najbardziej byli ubodzy, to wszystko, najwięcej dzieci, to tam rozdał, a my bez jednej okruszki, bo będzie jutro chleb na wolności. Tak że żeśmy do tego Nakła szli pieszo. Ja jeszcze... nieśliśmy tę Krystynę nie 3-letnią, bo ta zmarła siostra. O właśnie, nie mówiłam. Siostra moja najmłodsza była w obozie i Krystyna, i Jadwiga. Trzech było w szpitalu. W jednym łóżku leżały. I w Sylwestra po prostu 4:00 godzina rano się obudziła, że tak zimno i schwyciła tę Reginę i przytuliła, zaczęła płakać i krzyczeć: „Niech napalą”. I obudziła się ta trzecia siostra i zaczęli wołać, że po prostu „zimno, zimno”, nasza Regina jest cała zimna, żeby napalili. I przyszła siostra i wzięła, bo one sobie nie zdawały, że to już jest trup. I zabrała, to zaczęli krzyczeć, że w tym szpitalu są złodzieje. „Uważajcie, bo nam ukradli Reginę”. No i siostra przyszła do nas i mówiła, że smutną wiadomość wam przynoszę, bo wasze dziecko zmarło dzisiaj o czwartej. Tak że... Oby nigdy więcej wojny, oby nigdy. Bo najwięcej wszyscy ludzie cierpią, ale najbardziej dzieci. Co oni są winni, że dorośli się nie dogadali, że tam coś nie wyszło? No to nas to nie obchodziło. A że będą święta, to my byśmy wcale nie wiedzieli, jakby nam rodzice nie powiedzieli. Bo wszyscy szli do pracy, tak jak w normalny dzień. No to taką wannę albo taki drybus, jak to dawniej się mówiło, do szopy, aby robactwa nie przenieść do nich. No i najprzód tam rodzice i te najmniejsze dzieci, a potem ze siostrą, z tą Teresą żeśmy się kąpały. No i ciotka nagotowała kartofle i żeśmy: „Ojej, tyle wody”. No przecież jak myśmy rok i 3 miesiące się nie kąpały, no to było wielki raj. Bo tam było zawsze trochę wody i już następni w kolejce to było nie do tego. Ale mimo to wszy i tak się dostały do mieszkania. A i teraz jak myśmy byli szczęśliwi, tacy zadowoleni, że jesteśmy na wolności, ktoś tam przyniósł dwa talerze, ktoś dwa łyżki, ktoś jakiś obtrącony kubek, ktoś tam jakiś piecyk. No i tak, już byliśmy tacy szczęśliwi, że są tacy dobrzy ludzie, że o nas pamiętają i od swojego domku tam coś tego, jakąś miseczkę, jakiś garneczek. No i tak już było, ale to nie trwało długo, bo wieczorem przyszedł Troienden, Niemiec, który miał pod sobą opiekę nad ludźmi, którzy wracali z obozu. I popatrzył, bo tam w tym domu u wujka Jasia w Miesiączkowie już było 20 osób, a w jednym pokoju Niemcy jeszcze zrobili mleczarnię. No to dla nas przypadła komórka sześciometrowa. No i teraz te starsze siostry dostały zaraz nakaz pracy, to ich nie było. Ale nas jeszcze była Teresa, ja, Irka, Jadzia i Kryśia, jeszcze piątka dzieci i rodziców. No to było na siedem, a 6 metrów. To nie może być. No i wyliczył, że ja z siostrą mamy do rana do godziny 10:00 zginąć. Nie ma nas być. On, jego nie obchodzi gdzie. Jak nie, to będą wszyscy rozstrzelani z całej i tego cały, cały dom. No i tato wziął tę siostrę, nie wiem, nie wiem jakim cudem, zawiózł do Kurzętnika do mamy brata. Tam została. A mnie, byłam tak niesamowicie chora, w chustce na plecach rowerem zawiózł na Lorki do swojego pracownika. A jak wychodził z Potulic, jak żeśmy wychodzili, podpisał

dokument, że do Grodziczna ani w rejon Nowego Grodziczna do gminy nigdy nie przekroczy kroka, bo z powrotem będą doprowadzeni do obozu. No ale mimo to, no jak, no trzeba ratować rodzinę. I tam w tej chustce mnie położył na stół, to jeszcze pamiętam, byłam niesamowicie bardzo chora, bardzo tak, i ta pani Zosia mówi: „Panie Dąbrowski, a co my z nią zrobimy, jak ona nam umrze?” A tato mówi: „Weźcie w jakiś karton od butów, zakopcie ją do ogrodu. Hitler niedługo wojnę przegra, to my ją potem przekopujemy na cmentarz”. Ale ja byłam tak bardzo słaba, tak bardzo chora. Ci ludzie też nie byli bogaci, ale tak się mną czule zajmowali. Pani Zosia z jęczmienia wydlubowała ziareczka, na młynku od kawy mielila i na tym żelaznym piecu gotowała taki kleik. I tak jedną trzecią łyżeczki mnie podawała. Bo ja nie umiałam. A tyle po prostu to pamiętam, jak ten tato mnie położył. I potem, jak tam ktoś przyszedł, ale tak to trochę... Ale mówić nie mówiłam. Przez te trzy miesiące, jak byłam u nich, to nie mówiłam. I tak, że po prostu na takiej starej patelce... Na tym żelaznym piecu piasek grzeli i do jakiegoś woreczka wkładali i mi do nogi dawali. I dzień i noc podkładali, bo nie był to taki piec kaflowy, tylko taki, że trzeba było cały czas palić. Ale tak się mną na zmianę czuwali, tak się mną opiekowali. Tak że było te, do 3 miesięcy dobywało i przyszedł, ktoś powiedział, że... Jak już rozpoczęłam kaszleć, to już było wiadomo. Tak to oni nikogo do tej izby nie wpuszczali, tylko jak ktoś przyszedł, to wychodzili na korytarz. Przyszedł ktoś i mówił, że będą rozstrzelani, bo szpiega ukrywają. I nie wiem, jakim sposobem, że mnie zawieźli, nie pamiętam, do jego rodziców. A tam już było troszeczkę lepiej, bo już po prostu byłam w łóżku, już byłam pod pierzyną, już byłam pod ciepłą kołdrą, już mieli piece kaflowe, mieli opał, już było dużo, dużo lepiej, ale dalej mnie tym kleikiem jęczmiennym karmili. I kiedyś ta babcia mówi, że: „Ojej, raz by chociaż z nami zjadła ten obiad, chociaż w tą niedzielę, bo ona zawsze sama i sama w tym łóżku”. No i tak mnie przez siłę we dwóch przyprowadzili, ale zaraz się przewracałam na drugą osobę, no i nie było mowy, że dalej jednak tego. I takie trzy miesiące, ale już tam rozpoczęłam mówić. Tam już rozpoczęłam mówić i już tak jakby już bym była silniejsza. No i tak po prostu następne trzy miesiące i ta sama sytuacja. Też, że będą rozstrzelani, że szpiega ukrywają. No i jednak tato się znalazł, po pół roku zobaczyłam tatę i na rowerze mnie zawiózł do Mrocza, 38 kilometrów chyba tutaj, jak ten wnuk tego, na rowerze. Nie wiem, na ramie nie umiałam siedzieć, dalej na plecach, czy jak, bo ja przecież byłam bardzo słaba. No a tam już była ciocia i wujek, bo to tato tam się rodził i tam był jego rodzinny dom. No i kuzynostwo. No to już, już było trochę inaczej, ale już tam mi dawali do tej kaszy jęczmiennej nie tylko kleik, ale już troszeczkę, jedną łyżkę mleka od krowy. Tak że stopniowo dochodziłam. I wujek mówi: „Boże, 12 lat ona ma, a taka chuda. Weźta ją, chłopaki, zważta. No toć ona nam nie dojdzie do stodoły, do tego”. No, ale jednak jakoś mnie tam zawlekli, ale po tym, żeby chwilę tego, no to taki moment jednak – 20 kilo. No to była skóra i kości. No ale też właśnie mówię. I tam po prostu byłam następne pół roku. I tato jak wracał, to poszedł do Kopańskich, bo tam się rodził, z tą panią Kopańską chodził do szkoły i mówi do tego: „Franku pamiętaj, tam na polu jest moja, moje dziecko. Jak ona by poszła do obozu, to ona nie przetrwa”. A Niemcy u nich mieli biuro. I odżywiali się kuchnią po prostu. I jak przychodzili na kolację, to zawsze mieli tylko tej nocy, którą będą wysiedlenia. No i wtenczas patrzę – no będzie Franek Dąbrowski wysiedlony. I jakieś, bo dzień przed tym nigdy nie było tego, tego samego dnia dopiero mieli listę. Jak oni jedli kolację, to on... Po prostu pierwszą wojnę światową i drugą, i bolszewicką, tak że bardzo dobrze umiał po niemiecku. Jakies dziecko ze wsi wzięli i po prostu założyli mu karteczkę za spodnie i dwa kilometry w śniegu, żeby miał pójść i powiedzieć. Jacy ludzie jeszcze ofiarni i dobrej duszy mieli, żeby swoje dziecko dać, żeby ostrzegł mnie, no to naprawdę, mając swoje dzieci, to już było bardzo wielka ofiara. No i powiedział mu pan Kopański: „Jak ktoś cię znajdzie, to powiedz, że byłeś tam u cioci i że pobłądziłeś, nie wiesz, gdzie do domu”. No i poszedł i wrócił, wrócił szczęśliwie. No i wtenczas wujostwo, co, sąsiadów wzięli i do Zajndów, do takich Sanów po prostu

ten pan mnie wsadzili na ten wóz i Jadzia, moja kuzynka, w dziesięciolitrową kanę zagotowała wody. Posadzili mnie na te pęki słomy, obłożyli, żebym nie zmarzła i Jadzia jeszcze mi nałożyła medalik i mówi: „Stasia, jak będziesz w nie-szczęściu, to westchnij do Maryi, Ona ci zawsze pomoże”. „Dobrze, Jadziu, dobrze, dobrze”. No i myśmy tak jecha-li i gdzieś tam, nie wiem, jeszcze do Miesiączkowa bardzo daleko było, zatrzymali nas partyzanci i zaczęli w tę kanę po prostu mieczami, kosami i co tam mieli, sierpami i tego. I ten pan mówił, że wiezie dziecko kolegi, a oni mówili, że broń dla Niemców. A on mówił, że nie, że naprawdę dziecko po obozie i teraz wiezie do rodziców, bo w tej chwili było ukrywane. Ale oni nie wierzyli..., nie tego. Tak w tę kanę, mnie po nogach i po rękach, i tutaj, o mało co bym oka nie straciła, taka byłam zakrwawiona. Ja sobie siedziałam. Nic, jakby ktoś mi tam tego zatrzymał moją mowę. A jak tego woźnicę związali, tego pana, a jak ja już wtenczas zobaczyłam, że jestem w niebezpieczeństwie, bo nie ma już tego, to jak krzyknęłam: „Matko Boska nas ratuj!” i te ręce do góry wyciągnęłam. To ten przyszedł jeden i za tę pilotkę mnie wyciągnął do góry. „– Tak, on ma rację, tu jest dziecko”. No i go rozwiązali, nas puścili. I pojechalśmy, no do mamy, do mamy. Tak, nie do mamy, tylko do sąsiadów. Do takich, już zapomniałam w tej chwili, Bieńkowskich. I tam były takie dwie dziewczynki – Mietka taka stara jak ja i o rok starsza jej córka. No i w tej nocy pani mi tam to oko tego, tę nogę śmierdzącą, bo to tak cuchnęło z tej nogi, mi tam przewinęła, to już tam lepsze jakieś tam bandażę, coś tam miała. Jakieś tam od rajstopów, coś tam poowijali. A to cały czas leciało i ta noga bolała. No i mnie tam obtulili. „A do mamy, do mamy. Do mamy to jutro, a dzisiaj to tu u nas przenocujesz”. I do tej dziewczynki, do tej Mietki, ona z tą siostrą spała, to tak mnie przytuliła: „Nie płacz, twoja mama tutaj jest tu u państwa Dąbrowskich, jutro polecimy wszyscy”. No dobrze, jakoś tam zmęczona przysnęłam. No ale rano, jeden dzień, drugi, trzeci, mamy ani rusz. Potem patrzę, mama pod stodołą się spaceruje, ma te dwie i siostry moje i ta czwarta za nią biega, a ja tutaj ryczę nie wiadomo jak, żeby do tej mamy. No ale pani mówi: „Przecież wiesz, że będą wszyscy rozstrzelani. Chcesz jeszcze mieć mamę trochę później, za tydzień, za miesiąc?” „No chcę, ale przecież ja już tak dawno mamy nie widziałam”. No ale wujek Jasiu jakoś tam popatrzył, że tej mamie jest nie wiadomo jak, to zamknął ją do tej komórki na taki mały tam stołeczek. I przyszedł tam do Bieńkowskich i tej starszej dziewczynki. Rozebrali ją i mnie ustroili, bo mi zawsze równo byli ubrani te dziewczynki Bieńkowskie, i mnie za rękę i tę drugą, i przyszedł, tak pospacerował się pod tą stodołą i potem do tej komórki przyszedł. A ja mówię: „Mamo, ja byłam taka chora, to ty mnie wcale nie kochałaś, wcale do mnie nie przysłaś? I wiesz, że ja już nawet, ja w niczym byłam, do niczego”. „Ale córeczko, ja cię zawsze ko-chałam. Ale jak mogłam jechać, jak po prostu tu wojna i bylibyśmy wszyscy rozstrzelani – i ten dobry wujek, i ciocia, i wszyscy”. No i jakoś powoli, powoli, ale nie było łatwo. I chyba tam około miesiąca byłam i się okazało, że Niemiec po sąsiedzku chce te gospodarstwo objąć, a im każe się wynieść, znaleźć sobie mieszkanie i mają opuścić. Tam dwa dni im dał. No to nas też. No i wtenczas żeśmy na Traczyska pojechali do tego kuzyna, który nas wyzwolił, którego wniosek był przyjęty przez Niemców, że możemy być tam w Miesiączkowie u wujka Jasia. No to tam dostaliśmy jeden pokój dość duży, no i dwa łóżka, no i mama te swoje pierzyny, które tam trochę miała. Tak że głód, jeszcze raz głód. Tam było dobrze, bo był młyn po sąsiedzku. To, że myśmy tacy osłabieni, a tato jechał do roboty od rana, tylko w nie-dzielę przyjeżdżał, to ten pan Jasiu jeszcze nam po prostu tę mąkę donosił i wszyscy naokoło, bo to takie biedne strony, na tych Traczyskach dużo lasów, 9 kilometrów do Górną, do kościoła i Miesiączkowo też do tej samej para-fii. Tak że przeżyliśmy bardzo, bardzo, bardzo ciężko. A po wojnie, a potem, jak już Niemcy wkroczyli, ale tam już mieliśmy dobrze, bo mieliśmy chleba pod dostatkiem. I już wujek miał swoją łąkę, to torf był kopany, to już mieliśmy piec kaflowy, także to było super naprawdę już tam, już rozkosz wielka, no i byliśmy wszyscy razem. A siostry te star-sze, które pracowały tam u Arabów, no to na niedzielę przychodziły, bo w sobotę tego. Także już byliśmy bardzo,

bardzo szczęśliwi. No i 17 stycznia na Traczyska weszli Rosjanie. No i my teraz byliśmy wszyscy chorzy na tyfus. A jeszcze przedtem zachorowałam z moją siostrą na szkarlatynę. Tak mówią, że po prostu szkarlatyna jest tak bardzo zaraźliwą chorobą. Może tak, ale ani mama, ani moje siostry, ani tato nie zachorował, tylko my dwie. I spaliśmy obie w jednym łóżku, jak byliśmy chorzy, bo tak to te najmłodsze siostry spały w łóżku, a my na sienniku na podłodze, no ale podłoga, nie barłóg. I mama zauważyła, że z nas skóra całkiem schodzi. Że nie tego, że trzeba teraz, no taka temperatura, trzeba te dziewczynki przewracać jakoś prześcieradłem, no bo... Przyszła ciocia Władkowa i jakimś tam cudem mnie przesunęli na ich łóżko, a tutaj to prześcieradło złożyli na dwoje. Ciocia Władkowa przyniosła dla mnie. I tak nas co dwie godziny mama przesuwiała. Ale skóra zesza zupełnie ze wszystkiego. Zupełnie. No i temperatura bardzo duża. Tak że bez leczenia. Mama nas poila takim czarnym wężem, taki twardy, taki niemiły. Nie wiem, tam wodą, co tam jeszcze dodawała, nie wiem. Tak że po prostu byliśmy już tacy naprawdę bardzo wyczerpani, tam ani głosu, ani głowy podnieść. Tak że tato jak przyjechał, mówił, że te dziewczynki nam poumierają, bo wcale nie sikają. A tato mówił, że za mało piją, bo jak taka temperatura, się pocą, no to na pewno jest za mało. No ale po litrze wypijają. No to za mało. No to potem siłą mama nam tam jakoś tego. No i żeśmy sześć tygodni tak leżały potem już taka pianka wychodziła, taka z... bo to i paznokcie wszystko, taka... Bo myśmy tak jakby królika obciągnęły, myśmy tak wyglądali, zupełnie nic nie było tak. To coś niesamowitego. Potem ja taka pianeczka rosła i Teresę tam zahaczyłam o... paznokieć od nogi już tak miała troszeczkę. Ojej, jak ona piszczała, jak ona krzyczała, jak ją to strasznie bolało. Bo to już odrastało, a ja jakoś tam wyciągnęłam się i ją uraziłam. No i wreszcie: „Mamo, to już trochę zlituj się nad nami, weź nas tego, chociaż trochę, na 10 minut”. No i tak z tą ciocią każdą tam z tego łóżka, no i koszulkę włożyła, jakoś myśmy się przywracały. I z powrotem do łóżka. Tak że jeszcze, jeszcze tak sześć tygodni dobrze. I bez leczenia, bez niczego, bez żadnego lekarstwa, tylko głodem, wodą i nie wiem, co tam jeszcze. Tak że myśmy wyszły z tego, ale później jeszcze raz na tyfus żeśmy chorowali. Na gruźlicę w obozie, na odrę, na tyfus. Później jeszcze gruźlica się przyłączyła. Tak że naprawdę, naprawdę i tu jeszcze raz żeśmy na tyfus zachorowali na tych Traczyskach. I ja jako ta pierwsza już jako tako się czułam, jak Rosjanie wkroczyli, no to już wszystko leżało, tata i te siostry, wszyscy leżeli chorzy, a mama ja nie wiem, czy w ogóle chorowała ze mną, czy wcale i myśmy teraz zadecydowali, że pójdziemy pieszo do Grodziczna. No to żeśmy jeden dzień szli do Leźna, tam u rodziny żeśmy przenocowali, troszkę nam tego jedzonka dali i szliśmy do Mroczenka, a to też dużo kilometrów. I tam już byliśmy tak wykończeni, tak zmęczeni, do jednego domu żeśmy tego, nie otworzyli, bo wszędzie pełno mają. Do drugiego tak, ale już nie mam, już i w szopach, i w stajniach, wszędzie, wszędzie jest pełno ludzi, bo wszyscy z obozów wracają. I ostatni dom, ostatni ratunek, no ci nam tutaj tego. Ale wyszedł ten pan, mówi: „No wszędzie mam już pełno. We wszystkich tam kurnikach i wszędzie pełno ludzi. Ale wy już do Grodziczna nie dojdziecie. Ja nie mam już tyle, żeby was puścić”. I poszedł po pęk słomy do stodoły i ostatnie miejsce na korytarzu. Drzwi zakluczył na dwór i nam po prostu położył tę słomę, tak żeśmy z tymi ludźmi, którzy byli przed nami, nogami, bo żeby, broń Bóg, jak każdy zmordowany i zmęczony, w głowę jeszcze kogoś przypadkiem, nie tego, nie tego, tylko ze zmęczenia. I tak żeśmy naprawdę po prostu przespali i rano dał nam trochę chleba i trochę mleka rozcieńczonego z wodą, a my byliśmy posileni, i jeszcze kawałek chleba na drogę. I żeśmy szli. 12 kilometrów. I tam żeśmy spotkali pracownika od sąsiadów. Mówi: „O, pani Dąbrowska, Teresa, Stasia, Stasia, nie, Teresa, nie, Stasia. Ojej, a czemu tak późno?” „No bo byliśmy chorzy, bo nie mogliśmy, bo nie szło, ale tam już, no to idziemy, to idziemy zobaczyć nasz dom”. – „Tam nie ma co oglądać, bo tam nic nie ma”. – „Jak to nic nie ma? To zapalimy lampy, zobaczymy”. – „Ale tam nie ma lampy”. – „No to zapalimy świeczkę”. – „Ale pani Dąbrowska, tam nie ma ani świeczki, ani zapałków, tam nic nie ma”. A mama mówi: „A bu-

dynki stoją?” – „A budy stoją, budy stoją”. No to żeśmy poszli do sąsiadów, do Kurzyńskich, dali nam świeczkę i zapałki i żeśmy poszli, pooglądali. W całym domu nie było żadnych drzwi, żadnych mebli. Żadnej łyżki, żadnego po prostu talerza, żadnej miseczki, żadnych zwierków od pieca, kręgów przy piecu, czy tam dawniej się chleb piekło. Żadnych zwierczków, ni talerza, zupełnie nic. Ale dom był, okna byli. I najprawdopodobniej Rosjanie mieli tam konie, bo była słoma w jednym, w kuchni i w dużym pokoju. No i wróciliśmy z powrotem do tych sąsiadów Kurzyńskich i tam po prostu dziadkowie Straszewcy spali w jednym łóżku, pan był na wojnie, a pani Kurzyńska Marta spała ze Stefcią, z najstarszą córką, a Ludwik był malutki, to spał w łóżeczku. No i siennik nam dali. Mama poszła do stodoły, napełniła po prostu ten, po prostu słomą i żeśmy na sienniku w tym pokoju spali. Bo też nie mieli opatu, żeby więcej ogrzewać, tak że wszyscy w jednym pokoju. A potem w ciągu dnia to mama ten siennik wynosiła, jakieś tam dali nam koce, potem jakąś kołdrę. Tak żeśmy przenocowali. No ale teraz co rano? No to ta pani Kurzyńska nas trzy tygodnie karmiła, dała nam wiadro, dała nam jakieś widły, jakieś tam szpady, że myśmy ten gnój po prostu wynaszali na obornik, tę słomę, to wszystko, jakąś tam szmatę do sprzątnięcia. Tak że myśmy przez trzy tygodnie u nich byli żywieni i obiady, śniadania, kolacje i nocowanie. Po trzech tygodniach dopiero, jak tato z resztą rodzeństwa wyzdrowieli, to wziął tam od wujostwa konie i to, co tam miał, to przywieźli, a wiadomo, co było, w takiej kasie mama miała wszystkie rzeczy i to było wszystko, wszystkie ubiory dla nas dziewięciu, no bo siostra zmarła. No i tak żeśmy naprawdę wrócili. A tutaj dalej nie było co, ani jeść, było trochę słomy, żyta jeszcze do wymłócenia, to zaraz przyszli ormowcy, jak było młócone, i tato mówi: „No to zostawcie nam trochę do siewu, zostawcie dla moich dzieci”. No to niewiele tego zostawili ino zaraz zabrali dla Warszawy, bo Warszawa się buduje. Tak że... O, i mleko jeszcze żeśmy później dostawali od tych sąsiadów, tam literek. I tak naprawdę nie było bardzo co jeść, pole było bardzo źle obrobione, bo była tylko Arabka z dziećmi, ze służbą, a wiadomo jak to służba, jak oni nie byli zwyczajni, bo z miasta pochodzili, podobnież ci z Besarabii. A ona miała czwórkę dzieci, tak miała co do roboty, jak nie było jeszcze prądu, tylko nafta. I tak że naprawdę, naprawdę dużo dobroci żeśmy dostali od po prostu Kurzyńskich. A później urodziła się u nas jeszcze siostra w 1947 roku, to chrzestnymi byli wujostwo Gorzki z Targowiska i ofiarowali nam krowę jako prezent dla tej najmłodszej siostry, która dzisiaj ma 76 lat. No i dopiero wtenczas mieliśmy mleko swoje i żeśmy jeszcze każdemu, kto jeszcze nie miał, po literku, po połowie dawali. UNRRA potem jakieś tam koniki dawali, jakieś krowy, jakieś coś do obróbki w pole, jakieś tam maszyny rolnicze. No to tam gdzie tam przydziały byli, no to tato dostał takiego konika tego, taki dziki nie tego, potem taką jałowicę, która też w polu robiła. No, ale tutaj jeden od drugiego pożyczali to brony, to tego, bo było wszystko rozkradzione. No, ale żeśmy przetrwali. Rodzice wcześniej poumierali, bo jak trójkę dzieci pochowali, bo potem siostra zmarła na gruźlicę, mając 10 lat, w 1945 roku. Tak że no serca nie wytrzymały, można powiedzieć, tak. No a my w ogóle, nigdy żeśmy, jak myśmy, siedem dzieci jak nas stało nad trumną mamy i żeśmy mówiły, że my tych lat nie dożyjemy, my takie wychudzone, zmordowane, każda gromadkę dzieci ma, do 63, że nie przeżyjemy. A mi tutaj 90-ka i siostra druga też. Tak że czwórka nas jeszcze z tej dziesiątki żyje. Bogu niech będą dzięki. A tutaj po prostu za mąż wyszłam w 1956 roku, w Grodzicznie uciekałam tak na górkę, dość daleko, bo Niemcy mnie gonili. Zawsze w nocy się tam obudziłam i na koszu uciekałam. I tutaj jak przyszłam, to... tam żeśmy mieszkali, w tym pierwszym gospodarstwie, bo tu żeśmy podzielili potem z mężem, bo był za duży plan i nie dawaliśmy rady. A jak już było mniej jak 20 hektarów, to już było 1/3 tego, to już było łatwiej. To tutaj do bagna i tak... I parę razy tak uciekałam. Mąż kiedyś się obudził mówi: „No przecież jesteś u mnie bezpieczna, no kobieto, no daj spokój”. No i powoli, powoli, ale to tam chyba dobre pół roku to tak uciekałam w nocy. Taki strach, taki lęk pozostał. Jak ta siostra moja, która zmarła w Potulicach, to jak mama jej kaftaniki tam prała, bo wiadomo, że wymio-

towali dzieci, to ubierała na siebie i tak suszyła. I ja potem, mama mówi: „To idź do tej pani, co w kuchni pracowała, co powiedziała, że nam te odpady dają”. No to była z tych rejonów pani. To mówi: „Powiedz, może by ususzyła na tym piecu kaflowym”. No i poszłam i mówię: „Proszę panią, moja mama ma taką prośbę dla naszej Reginki. Już taka słaba jest, może by pani ususzyła”. – „Nie, nie mogę, dziecko, nie mogę”. Ale już rzeczywiście, że miała dwa sznurki na około obwieszanych od innych ludzi. Tak że mnie już nie przyjęła. Ale o tym nie, to... Może do mnie nie doszło, może nie zapamiętałam, bo przecież też nie byłam duża, nie byłam bardzo rozgarnięta, bym powiedziała, bo to ten strach, ten lęk przed tymi Niemcami, jak mi się potem, nie wolno nam było mówić po polsku, no po niemiecku, jak nie mogłaś, a potem jak po niemiecku, no to dość dobrze człowiek umiał, to znów po polsku się plątało. Tak że to było tak, że naprawdę ciężko było. Ale ta wolność, bo najbardziej to było dla nas to tego, że to, że jesteś Polakiem, że to jesteś niczym, że to najbardziej to nas upokarzało, że myśmy naszą Polskę zawsze kochali i chcemy być Polakami, a oni nas bardzo chcieli zniemczyć. Tak że to było najbardziej upokarzające, mimo tych wszów i pchłów i zawsze ten przeklęty Polak. To było takie tego, a my mówimy: „I tak będziemy Polakami”. Chociaż tam na nas dzieci krzyczą, to potem jak żeśmy tam do izdebki poszli, to mówimy: „I tak będziemy Polakami”. „Co? My będziemy Polakami. Nigdy Niemcami”. Tak, i zawsze był język badany, czy aby jakaś trawa nie tego, czy jak jagody żeśmy w lato zbierali, czy aby coś się nie zjadło. Ale myśmy i belki takie ciężkie nosili, i cegły, bez znaczenia, i przy obozach żeśmy zmiatali. To, co tam oni kazali, tak trzeba było robić, i to jeszcze dokładnie, bo każdy się bojał batów albo kopnięcia od tego Niemca. Mama przy rowie, a tato jako cieśla. A po prostu siostry to, tak naprawdę to nie wiem, ale też w takich niemieckich rodzinach. Tak że nie wiem, czy esesmanów, czy coś. Małgosia to wiem, że tam dzieci, tego miała po niemiecku mówić, ta, która już nie żyje, siostra miała 51 lat. To naprawdę bardzo ją tam tego... Ale przydział żywności, to już chociaż te dzieci nie zjadały, to im nie wolno było tego ruszyć. Miało być wyrzucone, a jesteś obozowym... To, że jesteś Polakiem, a myśmy zawsze mówili, że jesteśmy i będziemy Polakami. Myśmy wszyscy pluli krwią już w obozie. I potem, jak byliśmy już w Grodzicznie, no to przecież była opieka na zastrzyki do Montowa. Trzy kilometry żeśmy szli do wagonu. Ale tej siostry, która zmarła... To już była nadliczbowa, już po prostu ta policja jak chodziła i spisywała, milicja to chyba była, czy pol... milicja, to już po prostu nie, bo było za dużo, a że była najbardziej chora, no to dlaczego nie, no to tym bardziej, no że ona już by nie doszła tych trzech kilometrów. No i właśnie tego, miała 10 lat i zmarła, tak krwotok niesamowicie dostała. Ale mimo to myśmy wszystkie, jak szliśmy do tego pociągu bydłowego i do Lubawy z Montowa, to na dworcu siostry zakonne nam dawały zastrzyki. I później, jak ja już dzieci rodziłam, te siostry były starsze, no to mówiły, że tylko co drugi dzień dawały nam penicylinę, a co drugi, następny dzień przegotowane mleko. Bo nie było tyle. Było tyle chorych dzieci. A one tam już uczone i coś, i już potem wszystkich uratować by chciały, a to się nie dało. Więc to, co mogły, to ratowały. Myśmy przetrwali. A ta siostra nie. Była najbardziej, najbardziej pluła krwią, tak że taki jeszcze był nadzór potem nad nami, no nie zawsze sprawiedliwi, bo być takim sędzią, kto ma iść, a kto nie tego, to jest też bardzo trudne. No ale potem, jak on tak bił, a patrzył, że tak jak już... Myśmy to takie od czasu do czasu pluli, a jak ona rozpoczęła, to już tak chlustała dwa i trzy razy, potem się z tego i później już leżała, tak że... Nie jest to łatwe.